CUDA A NAUKA.

W ostatnich dniach marca odbyła się w Rzymie ceremonja przygotowawcza do beatyfikacji Wielebnego A. H. Fournet, proboszcza z Maillé w diecezji Poitiers i założyciela Sióstr św. Krzyża, zwanych siostrami św. Andrzeja.

Przy tej sposobności przemawiał ks. Saubat, generalny prokurator księży Najśw. Serca Pana Jezusa z Betharram, a zarazem postulator sprawy. Odpowiadając mu, wygłosił Ojciec św. długie przemówienie, w którem zwrócił uwagę na dwie ważne rzeczy co do wielkiej liczby cudów, które Kościół na mocy swej władzy w dniach dzisiejszych zatwierdza.

Nie brak niewierzących — mówił Ojciec św., — twierdzących, że czasy cudów minęły. Ale to nie jest ani niewiara, ani wiara zbyt nieśmiała, ale poprostu ignorancja.

Ten, który chce badać, powiada Najwyższy Kapłan, z duszą spokojną i umysłem niezależnym od wszelkiego uprzedzenia, będzie musiał skonstatować tę wielką prawdę; jak w porządku przyrodzonym Bóg stwórca i rządca świata za pomocą cudów stworzenia, które coraz bardziej się objawiają badaniom naukowym, nietylko nie przestaje dawać, ale mnoży coraz bardziej dowody Swej mądrości i Swej potęgi, wzywając ludzi, by uznawali Stwórcę poprzez stworzenie, by uznawali Tego, który rządzi wszystkiem poprzez podziwu godne prawa, które wszystkiem kierują, do tego stopnia, że sprawia, iż są nieusprawiedliwionymi ci, którzy od piękności rzeczy stworzonych nie umieją się wznieść przynajmniej do poznania Stwórcy i Pana wszechrzeczy; tak samo i wspanialej jeszcze, dzieje się w porządku nadprzyrodzonym.

Inni znowu, mówi dalej Ojciec św., uważają, że co do cudów napotyka się w dzisiejszych czasach przeszkodę, która dawniej nie istniała, lub przynajmniej była dużo mniejsza, mianowicie naukę.

Czy można pogodzić cud z nauką, która wszystko tłumaczy, która wszystko odnosi do porządku przyrodzonego?

Oto właśnie przeciwnie tutaj, my, którzy wzrośliśmy w szkole rzeczy niebieskich, musimy głębiej odczuć wdzięczność wobec Boga, gdyż można powiedzieć i należy powiedzieć, że więcej niż zwykle można w dzisiejszych czasach stwierdzać cuda, doskonale, nieomylnie i słusznie, i to z pomocą nauki.

Z jednej strony nie jest prawdą, by nauka wszystko wyjaśniała, jak to zwykle się mówi, ze zbyt łatwą i powierzchowną erudycją. Właśnie przeciwnie, ponieważ nauka z dnia na dzień odkrywa coraz to nowe i wspaniałe światła, światła te równocześnie odkrywają nam przepaście ciemności takie, że porządek świata i praw, które nim rządzą, staje się rzeczywistością coraz bardziej tajemniczą i niedostępną dla rozumu ludzkiego.

Z drugiej strony światło, nowe promienie nauki, tak dobrze rozjaśniają niektóre zagadnienia życia, rzeczy wszechświata, bytu ludzkiego, że dają nam naprawdę wskazówki pożądane i dokładne co do cudów.

Cuda, które Kongregacja Świętych Obrzędów bada nietylko w świetle łaski bożej, ale także w świetle nauki, mogą być dzięki temu światłu stwierdzone dziś z pewnością, której przed niedawnym jeszcze czasem nie można było dosięgnąć, ponieważ, choć uzdrowienie było pewne, to stopień choroby nie był tak pewnym.

Czy to było zło śmiertelne? Ileż razy powstawała ta wątpliwość, ileż razy trzeba było zrezygnować z pójścia głębiej. Dziś granice tej wątpliwości się cofają i wszystkie wielkie badania, które nauka stawia nam do rozporządzenia, dla introspekcji organów, dla stwierdzenia nietylko indukcyjnego, ale bezpośredniego, wzrokiem, są tylomaż okolicznościami, które ułatwiają skonstatowanie cudu. Nigdy jeszcze tak jak dziś nie można było skonstatować, co jest możliwe w sposób przyrodzony, a co jest poza możnością przyrodzoną. Tak, że gdy potem nastąpi uzdrowienie i to uzdrowienie natychmiastowe, cud okazuje się w takiej jasności i oczywistości. że niema potrzeby żądania czegoś więcej.

Słowa te Ojca św. zrobiły na wszystkich obecnych głębokie wrażenie. Jak pisze „Messagero“, była to prawdziwa nauka apologetyki, gdzie nauka i wiara okazały się w tej pięknej harmonji, którą papież podnosi za każdym razem, gdy się do tego nadarzy sposobność.

—o—

WALKA O BYT KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W PORTUGALJI.

Portugalja przedstawia rzadki obraz kraju prawie wyłącznie katolickiego, w którym jednak prześladowanie katolików od przeszło stu lat trwa ustawicznie, przyczem przeciwko Kościołowi walczy naprzemian gwałt i ukryta intryga.

Prześladowanie to zaczęło się w czasie walki z Kościołem króla José (1750 — 1777), który po ojcu odziedziczył zaszczytny tytuł „Króla najwierniejszego", którym to przytomkiem odznaczyła jego ojca Stolica święta. Wszechmocny minister króla José, markiz de Pombal, który wypędził jezuitów ze wszystkich posiadłości portugalskich, okrył ich obelgami i oszczerstwami, czynił wszystko, co możliwe, by przeciąć łączność zakonników z generałem w Rzymie, przerwał wszelkie stosunki ze Stolicą świętą i był prawie przyczyną zupełnej schyzmy portugalskiej.

W wieku dziewiętnastym, zwłaszcza od roku 1820, konstytuujące zgromadzenie narodowe na znak liberalizmu rozpoczęło ataki podstępne a gwałtowne przeciwko zakonom. Wydawano dowolne prawa, nie robiąc sobie nic z protestów biskupów. Było to jednak lekką przygrywką do niszczącej roboty konstytucji z r. 1834. Rozporządzenie rządowe z dnia 24 kwietnia tego roku wypędzało tych niewielu jezuitów francuskich, którzy za czasów króla Michała weszli do Portugalji. W sześć dni potem wydano nowe rozporządzenie, które postanawiało zamknięcie wszystkich domów zakonnych i konfiskatę ich dóbr i zakazywało przyjmowania nowych nowicjuszów, przez co skazywano zakony te na powolne wymarcie. Prawa te prześladowcze wykonywano z nieugiętą surowością i ostrością, tak, że ani jeden z biskupów nie odważył się przeciwko nim protestować.

Byłoby rzeczą zbyt smutną opisywać stan Kościoła portugalskiego w ciągu czasów następnych. Natomiast pocieszającem było to, że zakonnicy zwolna zaczęli powracać, a rządy konstytucyjne, które stały u steru od r. 1834 do 1910 uważały za żądanie liberalizmu, by opieką otaczać, przynajmniej pozornie, religję katolicką, religję ludu, chociaż w rzeczywistości czynili to tylko o tyle, o ile to odpowiadało ich celom politycznym. Dla Kościoła natomiast była to epoka milczącej niewoli. Praw prześladowczych z roku 1834, skierowanych przeciwko zakonom, nie zniesiono, nauczanie zarówno średnie, jak i wyższe było świeckie, biskupi narażeni byli na wszelkiego rodzaju przeszkody, i trudności, a kapłanów uważano milcząco za funkcjonarjuszy państwowych, którzy posłuszni być mają raczej rządowi, niż biskupom.

Jako protektor Kościoła, król miał mianować biskupów, chociaż w ich wyborze kierowano się bardziej celami politycznymi, niż dobrem duchowem diecezji, i często mianowano kandydatów takich, którzy przedewszystkiem na to uważali, by poddać się rządowi, ulegać. To samo i gorzej jeszcze, działo się przy mianowaniu proboszczów. Gdy dodamy do tego odsunięcie zakonników od szkoły i od pracy nad duszami i nadto wielką liczbę kapłanów, służących raczej polityce, niż religji, których życie oddalało się znacznie od ideału kapłańskiego, a nawet często było gorszące, nie można się dziwić, że katolicyzm szedł tam gwałtownie do zupełnej ruiny.

Wybitną rolę odgrywała w tem wszystkiem bezbożna literatura 19-go wieku, jak Guerra Junqueiro, Eça de Qieiroz, Oliveira Martins, Slejandro Herculano, Pinheiro, Chagas i t. d., a także przekupna prasa, która bezwstydnie fałszowała dzieje kraju i opisami najstraszniejszych, nieprawdopodobnych wydarzeń, dalekich od prawdy, szczuła bezkrytyczną a nieświadomą rzeczy publiczność przeciw religji i Kościołowi. Że zepsucie obyczajów nie było bardziej powszechne, zawdzięcza się to tylko pracy zakonników, którzy mimo dekretów banicyjnych i wszelkiego rodzaju prześladowań odważyli się od roku 1852 powracać do ojczyzny. I tak w r. 1858 powrócili jezuici, którzy zbudowali kolegjum w Campolide, w r. 1861 franciszkanie, w 1867 Ojcowie Ducha św., w 1903 redemptoryści, a następnie inne zakony, jak benedyktyni, lazaryści, dominikanie, salezjanie.

Główna praca zakonów kierowała się ku wychowaniu młodzieży, ku misjom ludowym, prowadzeniu seminarjów duchownych, ku organizacjom katolickim i prasie katolickiej, rekolekcyj ludowych i przedewszystkiem rekolekcyj dla kapłanów. Oczywiście praca tego rodzaju wymaga dłuższego czasu, zanim przyniesie widoczne owoce. W każdym razie znaczna część ludności w północnej i środkowej części kraju odnowiła się we wierze, przystępować zaczęto liczniej do sakramentów św., podniosła się moralność chrześcijańska.

W r. 1901 wszczęto nowe ataki przeciwko zakonom, i celem ich odparcia zorganizowano stronnictwo katolickie pod nazwą „Stronnictwo narodowe". Niestety brak było powstającemu stronnictwu poparcia episkopatu i u części kleru.

W r. 1910 upadła monarchja. Rewolucja zatriumfowała, a nowa rzeczpospolita, córka masonerji, oświadczyła otwarcie, że jest wrogą religji. Za wzór wzięto sobie republikę francuską. W sposób nieludzki zakonników, a przedewszystkiem jezuitów wtrącono do więzienia, a następnie wygnano, a wszystkie domy zakonne zamknięto. W Lizbonie Ojców lazarystów niektórych wymordowano, wielu innych poraniono.

Jak zwykle tak i tutaj po uporaniu się z zakonami, zabrano się następnie do episkopatu i do kleru świeckiego. Biskup z Beja, Mgr. Sebatjan Leite De Vasconcellos, był zmuszony uciekać zagranicę, gdyż na jego głowę nałożono cenę 5000 franków. Umarł na wygnaniu, nie mogąc wrócić do Portugalji. Z innych biskupów arcybiskupa z Bragi i prymasa uwięziono, Patrjarcha z Lizbony, Mendes Bello, biskup z Bragancy, Albes de Mariz, biskup z Oporto, Barroso zostali wygnani z własnych diecezyj. Ten sam los dotknął administratorów biskupstw z Oporto i z Koimbry.

Rząd wyznaczył pod pewnemi warunkami pensję roczną dla duchowieństwa. Bardzo niewielu jednak tylko kapłanów, mniej stosunkowo niż we Francji, poniżyło się na tyle, by podjąć te pieniądze. Nic też dziwnego, że kler popadł w niełaskę u prowizorycznego rządu, wielu kapłanów uwięziono, innych wygnano, wielu opuściło kraj dobrowolnie, udając się do Hiszpanji, a nawet do Brazyli.

Po tych zarządzeniach nastąpiło upaństwowienie szkół powszechnych, — szkoły bowiem średnie i wyższe upaństwowiono już dawniej — potem oczywiście prawo o rozwodach. Dekretem z dnia 1-go lutego r. 1911 postano-

wiono, by przed ślubem kościelnym zawierano ślub cywilny, obowiązkowy, i by nowonarodzone dzieci zapisywano do ksiąg państwowych zanim się je ochrzci.

Dnia 12-go kwietnia 1911 ogłoszono drakońskie prawa rozdziału kościoła od państwa. Okrutna ironia pod dwoma względami: najpierw, ponieważ pod nazwą Kosciół można było tylko praktycznie rozumieć Kościół katolicki, a po drugie, ponieważ pod nazwą rozdział można było rozumieć tylko zgnębienie Kościoła. Usiłowano stworzyć stowarzyszenia celem wykonania kultu według systemu Brianda po parafjach, pospisywano inwentarz dóbr kościelnych, które skonfiskowano (kościoły jezuitów nie miały służyć do kultu), zajęto budynki seminarjów duchownych, z wyjątkiem trzech czy czterech, i postanowiono by państwo miało również wpływ na wychowanie w seminarjach, aby nie brakło elementu humorystycznego zakazano kapłanom nosić sutanny poza kościołem. Na akty publiczne kultu dozwolono tylko we wnętrzach kościołów, procesji natomias publicznych po ulicach i innych manifestacji katolickich wzbroniono surowo.

Cel prześladowania był jasny. Alfons Consta, autor tego prawa, wyjaśnił go publicznie. Zanim mianowicie jeszcze te prawa wydano, zgromadzili się jego koledzy prowizorycznego rządu razem z masońskim Wielkim Wschodem portugalskim. Na to zgromadzenie masonerji zaproszono wielką ilość delegatów wszystkich lóż portugalskich. Zgromadzenie to przyjęło z zapałem projekt prawa. Dziennik O Seculo wydrukował streszczenie mowy Alfonsa Costy. Wtedy to wygłosił Costa między innemi następujące komiczne proroctwo: „Po dwóch generacjach Kościół katolicki zniknie z Portugalji w następstwie tego prawa".

Nieco później, pod rządami Sidonia Paesa „położenie katolików nieco się polepszyło, przywrócono nawet na nowo przedstawicielstwo dyplomatyczne Portugalji przy Watykanie, lecz prawo rozdziału, które republikanie portugalscy uważają za nienaruszalne, weszło w życie, i Kościół gorzkie wydaje westchnienia pod jarzmem ucisku.

Skoro minął pierwszy impet furji rewolucyjnej, a z drugiej strony ogromne trudności wewnętrzne skierowały uwagę rządu w inną stronę, wytężyli biskupi całą swoją gorliwość ku usunięciu ruin. Ustanowiono nowe djecezje: Willararreal i Leiria; ta druga istniała już dawniej, ale zniesiono ją jeszcze za czasów monarchji. Brak kapłanów, jako skutek zniesienia seminarjów i licznych banicji, stanowi przeszkodę bardzo wielką. Totoż przywrócenie seminarjów jest zadaniem jednem z najpilniejszych. Temu przedmiotowi poświęcili biskupi główne wysiłki. W większości djecezji brakowało jednak do tego celu wszystkiego, budynku, personalu i środków materjalnych. Nic jednak nie wstrzymało gorliwych pasterzy. To też Bóg pobłogosławił, i kler, zarówno, jak wierni współzawodniczyli ze sobą a dziś wszystkie już diecezje mają swe seminarja, niektóre zaś nawet po dwa.

Wielkie też usługi w odnowieniu religijnym kraju oddały kongresy, które popierała część episkopatu. Najważniejszym był kongres eucharystyczny narodowy w Braga, w czerwcu r. 1924. Obecnym był na tym kongresie nuncjusz i prawie wszyscy Biskupi. Po kongresie odbyła się masowa pielgrzymka do Matki Boskiej z Sameiro, w okolicy Bragi. Tam odnowili biskupi poświęcenie całego kraju Boskiemu Sercu Jezusa. Dwa inne kongresy eu-

charystyczne diecezjalne, mianowicie w Braga w r. 1923 i Povoa de Barcin w r. 1925, jakoteż kongres katolicki w Villarreal wykazują, że w lud portugalski wstąpiło nowe religijne życie.

Bezwątpienia wysiłkom episkopatu portugalskiego należy przypisać założenie w ostatnich latach centrum katolickiego (1919). Cel tej organizacji widać jasno z trzech pierwszych artykułów jej programu, które przytaczamy dosłownie:

Artykuł 1-szy. Centrum katolickie portugalskie jest organizacją autonomiczną, która ma za zadanie ochraniać i podniecać ruch katolicki, zgodnie ze zbiorowym listem pasterskim episkopatu portugalskiego z dnia 22-go stycznia r. 1917. Ma ono też być zjednoczeniem wszystkich katolików kraju.

Artykuł 2-gi. Centrum katolickie szanuje władze konstytucyjne państwa, i ze względu na swe dążności moralne i ekonomiczne trzyma się zdala od wszystkiego, co dotyczy kwestji formy rządu.

Artykuł 3-ci. Centrum nie dąży bezpośrednio do objęcia władzy politycznej, raczej do rozszerzania w kraju ducha chrześcijańskiego, jakoteż zgody i pokoju między rozmaitemi klasami i kierunkami społecznemi owszem pragnie ono współdziałać, by na kierowników życia publicznego powołano obywateli jak najodpowiedniejszych, zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i fachowego.

Centrum obejmuje wszystkich tych katolików, którzy zachowując zawsze swe osobiste przekonania polityczne, zgadzają się w przyrzeczeniu, że oddadzą swój głos wyłącznie tylko na tych kandydatów, których zatwierdzi komitet centrowy. Od samego swego założenia centrum katolickie pracowało z wielką gorliwością nad urzeczywistnieniem swego programu.

Wspomnieć też należy o dorocznych konferencjach biskupów, które zawsze miały wielką doniosłość praktyczną.

Cała Europa jest dziś świadkiem wielkiego podniesienia ducha religijnego ludów. Nigdzie może jednak nie daje się tak zdumiewającej zauważyć zmiany ku dobremu, jak w Portugalji. Rozmaici sławni pisarze i bardzo liczni profesorzy szkół wyższych, zwłaszcza uniwersytetu w Koimbrze, powrócili do praktycznego wykonywania religji i budują swą pobożnością wiernych. Podobna zmiana dokonała się także wśród młodzieży uniwersyteckiej. Wystarczy wspomnieć o C. D. C. (centrum akademickiem demokracji chrześcijańskiej), które w roku szkolnym 1924 na 1925 zaliczyło do swych członków więcej niż 600 studentów katolickich uniwersytetów w Koimbrze. Do środków, których używano, celem dojścia do takich wyników, należy w pierwszym rzędzie zaliczyć rekolekcje. Od roku 1922 dano cztery serje rekolekcyj studentom uniwersyteckim, trzy dla dziennikarzy i pisarzy, dwie dla kapłanów i misjonarzy i dwie dla profesorów seminarjów.

W seminarjum w Braga założono poraz pierwszy w Portugalji katedrę teologji ascetycznej.

W ciągu roku jubileuszowego udały się do Rzymu trzy pielgrzymki. Pierwsza, najliczniejsza, w maju, miała na czele patrjarchę lizbońskiego i ośmiu biskupów, a brało w niej udział 2000 pielgrzymów portugalskich, którzy wszyscy odznaczali się pobożnością i karnością. Dwie inne pielgrzymki

udały się do Rzymu we wrześniu, w jednej z nich brał udział arcybiskup Prymas z trzema biskupami. Zauważyć należy, że podczas poprzedniego jubileuszu tj. w r. 1900, było w Rzymie tylko 1000 pielgrzymów portugalskich i ośmiu biskupów.

W szkołach powszechnych wychowują dzieci w Portugalji bez Boga i bez religji. Dlatego też rodzice uważali sobie za obowiązek wycofać swe dzieci z tych szkół i zakładać, na wzór katolików francuskich, szkoły powszechne katolickie i zaopatrywać je w dostateczne środki naukowe.

Jest nadzieja, że z tego wychowania katolickiego przybędzie większa liczba powołań kapłańskich i zakonnych. Seminarjum zaś centralne zaspokoi istotną potrzebę życiową katolików portugalskich, wychowując kler wzorowy i znakomity.

Razón y Fe.

—o—

ZMARTWYCHWSTANIE.

Zmartwychwstanie Chrystusa potrzebnem było dla pięciu powodów. Po pierwsze mianowicie, dla pokazania sprawiedliwości bożej, do której należy wywyższać tych, którzy dla Boga się upokarzają według owych słów św. Łukasza I 52: złożył mocarzy ze stolicy a podwyższył pokorne. *Ponieważ więc Chrystus dla miłości i posłuszeństwa Bogu upokorzył się aż do śmierci krzyżowej, potrzeba było, by Go Bóg wywyzszył aż do chwalebnego zmartwychwstania, i stąd o osobie Jego mówi się w Psalmie CXXXVIII, 1:* Ty znasz, *to znaczy potwierdzasz,* gdy siadam, *to znaczy pokorę i mękę,* i gdy wstaję, *to znaczy chwałę w Zmartwychwstaniu, jak tłumaczy Glossa.*

Po drugie, dla pouczenia naszej wiary, ponieważ Jego zmartwychwstanie utwierdziło naszą wiarę o boskości Chrystusa, gdyż, jak powiedziano w II Kor. XIII, 4 aczkolwiek ukrzyżowany jest ze mdłości, ale żyje z mocy bożej. *I dlatego mówi się w I Kor. XV, 14:* Jeśliż Chrystus nie powstał, próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza. *A w psalmie XXIX, 10 powiedziano:* Jakiż Ci pożytek ze krwi mojej *to znaczy z rozlania krwi mojej,* gdy ulegnę *jak gdyby przez jakieś stopnie zła* skażeniu? *Jak gdyby mówił: Żaden*: Jeśli bowiem zaraz nie zmartwychwstanę i podlegnie skażeniu ciało moje, nikomu nie będę przepowiadał, nikogo nie zyskam *jak tłumaczy Glossa.*

Po trzecie, dla podniesienia naszej nadziei, ponieważ gdy

widzimy, że zmartwychwstał Chrystus, który jest głową naszą, spodziewamy się że i my zmartwychwstaniemy. Stąd powiedziano w I Kor. XV, 12 Jeśliż o Chrystusie powiadają iż zmartwychwstał, jakoż mówią niektórzy między wami, że zmartwychwstania niemasz? *i Job. XIX, 25.* Wiem *mianowicie przez pewność wiary* iż Odkupiciel, *to jest Chrystus*, mój żywie, *powstając z martwych; dlatego* w dzień ostateczny powstanę z ziemię, schowana jest ta nadzieja moja w zanadrzu mojem.

Po czwarte, dla pokierowania życiem wiernych, według słów do Rzym. VI, 4 jako Chrystus wstał z martwych przez chwałę Ojcowską, tak i my, żebyśmy w nowości żywota chodzili *i dalej* Chrystus powstawszy z martwych więcej nie umiera. Tak też i wy rozumiejcie, że jesteście umarłymi grzechowi, a żywymi Bogu.

Po piąte, dla dopełnienia naszego zbawienia, ponieważ jak przez to, że cierpiąc męki upokorzył się umierając, by nas od zła uwolnił, tak uwielbiony jest zmartwychwstając, by nas wyprowadził do dobra, według słów do Rzym. IV, 25 jest wydany dla występków naszych, a wstał z martwych dla usprawiedliwienia naszego.

Św. Tomasz z Akwinu. Summa teologiczna Cz. III R. III par. 1.

—o—

SOBÓR W MOSKWIE.

(1 — 10 października 1925).

Niezmiernie ciekawy opis tego soboru kreśli ks. Michał d'Herbigny T. J. ze swych wycieczek po Rosji. Opis ten podajemy czytelnikom naszym według artykułu. umieszczonego w znanym dwutygodniku francuskim „Le Correspondent."

Pośród odłamów prawosławnych, mówi O. d' Herbigny, rywalizujących ze sobą, ktore ubiegają się o dusze rosyjskie, najliczniejszym jeszcze, ale także najbardziej gnębionym, jest ten, który przechowuje pamięć patrjarchy Tychona. Od chwili jego śmierci, która nastąpiła w nocy z 7 na 8 kwietnia 1922 r., odłam ten stracił ogromnie na znaczeniu. Jego obecny naczelnik, Piotr Paljański, był jeszcze w r. 1919 urzędnikiem świeckim. Prawnie, według soboru, który przywrócił patrjarchat w r. 1917, ten „strażnik tronu patrjarchalnego" miał piastować władzę tylko przez trzy miesiące. Tymczasem wykonuje ją dalej ku niezadowoleniu innych członków własnej hierarchji.

Przeciw niemu buntują się starzy biskupi, którzy pozostali wierni za-

sadzie synodalnej, oraz ich zwolennicy. Z odległości brałem ich za złagodzoną formę czerwonej hierarchji, zaufawszy, jak wszyscy ludzie Zachodu, tendencyjnym zapewnieniom, które mieszają ich z Kościołem żywym. Hierarchja ta oświadcza się przeciw podobnemu pomieszaniu. Uważa się ona za jedynie konieczną, chlubi się tem, że dochowała wierności literze kanonów i ich duchowi, jak i dogmatyce prawosławia i tradycji soborowej. Nie potrzebując stawać po niczyjej stronie, mogę bez żadnych uprzedzeń przedstawić stanowiska jej dwustu biskupów. Uznają oni sobór z 1917 r. z jego większością prawicową, który przywrócił patrjarchat, zniesiony od roku 1700 po stuletniem zaledwie istnieniu; uznają sobór z 1923 r. z jego większością lewicową, który zniósł patrjarchat za to, iż odmówił zachowywania kanonów z 1917 r. Nazywają oni zatem swoje zebranie z października 1925 r.: Trzecim soborem prawosławnych kościołów na ziemiach M. R. S. S. To trzecie zebranie, tak jak oba poprzednie, otrzymało błogosławieństwo patrjarchy konstantynopolitańskiego, a to uświęcenie zapewniło wysłannikom poprawność ich doktryny. Publiczność nazywa ich często synodalistami, lub odnowicielami, oni zaś chętnie przybierają miano ortodoksów. Wedle ich statystyk, 17.000 kapłanów uznaje ich hierarchję i odprawia nabożeństwa w 16.000 kościołów. Ich znawcy prawa kanonicznego zapewniają, że pierwszy arcybiskup, Mrg. Agathange, dawny metropolita jarosławski, mianowany przez patrjarchę stróżem tronu patrjarchalnego, był jednym z ich zwolenników. Rzeczywiście, wedle listu z Moskwy, ogłoszonego w dniu 12 sierpnia 1925 r. przez Wosrożdienie, organ monarchistów rosyjskich w Paryżu, metropolita Agathange bywał w kościele synodalistów aż do chwili przybycia dwóch biskupów, zwolenników Piotra Paljańskiego. Wkrótce potem umarł.

Kanoniści ci przyznają, że większość ludności jest za tychonistami, trzy czwarte jak twierdzą, — podczas gdy pewien biskup tychoński przyznawał im 35 proc. wiernych na prowincji, a 20 proc. w Moskwie. Zdobywają więc nowe obszary nawet wedle tego, co mówią ich współzawodnicy. Stoimy w obliczu faktów rzeczywistych, mówią owi synodaliści, faktów dawnej historji rosyjskiej i faktów nabliższej przyszłości. Wznawiamy niedawne sobory, pragnąc jedynie, aby nasz sobór obecny, zwołany na tych samych zasadach, korzystał z tych samych praw.

Na Synodzie w Moskwie, który teraz chcemy opisać, jest obecnych 83 biskupów, 200 księży, 200 osób świeckich, wybranych po dwóch z każdej diecezji. Dawne Wielkie Seminarjum daje im pomieszczenie. Posiedzenia odbywają się w sali Aktów, klasy pierwszego piętra zamieniono na lokale dla biskupów, osób świeckich, zwykłych księży; urządzono także lokale dla kobiet delegatek. W korytarzu znajdują się szumiące wielkie samowary, które o każdej porze dostarczają szklanek herbaty członkom soboru. Ponieważ jest już zimno, więc ognie płoną w pustej przestrzeni, którą budowniczowie pałaców rosyjskich pozostawiają zawsze w grubości murów wewnętrznych. Bez centralnego ogrzewania, bez pieców, gmach jest ogrzany przy pomocy polan drzewa, płonących na dole, w wydrążeniach tych murów, a wielkie płomienie wznoszą się z piętra na piętro ku dachowi; ciepło jest stałe i tanie. Oczywiście seminarjum jest oddawna unarodowione (Trzeci

Dom Sowietów), tak jak wszystkie inne budynki, tak jak wszystek grunt w Moskwie i w Rosji. Trzeba było wynająć to piętro. Parterem nawet podczas soboru rozporządzają sowiety, jedyni właściciele wszystkich nieruchomości, a popiersie Lenina rysuje się na tle czerwonego obicia u stóp schodów, tak, jak we wszystkich niemal miejscach publicznych i na wystawach sklepowych.

Pierwsze piętro natomiast stało się znów duchownem. Dawna wielka sala Aktów, wynajmywana kolejno wszelakim prywatnym organizatorom zebrań publicznych, odzyskała swych dawnych słuchaczy. Jakieś szczątki papierowych wstęg z urywkami napisów marksistowskich widnieją jeszcze poprzyklejane do ścian. Niema innych śladów niedawnych zbeszczeszczających użytkowań. Na scenie na lewo, na wprost widzów bardzo wysoki ikon panuje nad całem audytorjum. Chrystus chwalebny ma na sobie długi i szeroki płaszcz cesarski, a na głowie koronę carów: myśl tego symbolizmu wyjaśni mi się powoli. Inne mniejsze ikony, Najświętszej Marji Panny, św. Mikołaja, św. Bazylego, uzupełniają tę skromną dekorację. Ogromna świeca i lampy palą się stale przed obrazami. Przód sceny jest zajęty przez długi stół, pokryty zielonem suknem, na którem wznosi się krzyż i spoczywa księga Ewangelji. Najstarsi metropolici o długich brodach i śnieżnych włosach mają czcigodny i uśmiechnięty wyraz św. Mikołaja. Przewodniczą, siedząc na prostych krzesłach drewnianych, o wysokich poręczach. Za nimi siedzi stary kupiec z asyryjską brodą, świecki delegat Moskwy. W kulisach po prawej i lewej stronie, dwóch, czy trzech księży, wraz z trzema delegatami świeckimi pełnią czynności sekretarzy. Dwaj inni świeccy, którzy za dawnego ustroju byli już profesorami teologji w akademjach duchownych, siedzą na krańcach stołu metropolitów: są to panowie Carin i Tilinow. W głębi sceny czterech czy pięciu biskupów, arcybiskupów, lub metropolitów może wchodzić, siadać, wychodzić, nie zwracając niczyjej uwagi.

Większość innych biskupów siedzi w sali, już to w pierwszych rzędach, już to w grupie na przeciw bocznych drzwi, przez które delegaci przychodzą na posiedzenia. Zresztą niema miejsc stałych; księża i osoby świeckie mieszają się ze sobą; każdy zajmuje pierwszy lepszy stołek, krzesło, czy taburet z masywnego drzewa. Na niektórych posiedzeniach stary ksiądz, asceta, złamany we dwoje, usiłuje odstąpić swe miejsce każdemu ze spaźniających się. Innych jednak wzrusza widok tego starca, który mimo wyczerpania spełnia dalej swą pokutę i stoi, przeto spieszą przynieść mu nowe krzesło, on zaś odstępuje je pospiesznie pierwszemu z nadchodzących, składając mu przytem w milczeniu głęboki ukłon. Ten bogobojny zabieg powtarza się piętnaście razy.

Delegaci przybyli ze wszystkich prowincyj podległych władzy sowieckiej, z Uralu, Syberji, z Zabajkalji, Kaukazu, Krymu. Są tu przybysze z Tyflisu i Teszkentu, oraz z Archangielska i Sewastopola. Wszyscy mają równe prawo głosu, świeccy, księża, biskupi. Ta równość wykonywana od soboru z r. 1917, tłumaczy się — jak mi mówiono — faktem, że nie może tu być rozpraw dogmatycznych, sprawy doktryny bowiem zastrzeżono soborowi powszechnemu. Gdyby słowo sobór nie było dla Rosjan tak pełne uroku,

to powiedzieliby zapewne z większą prawdą i prostotą, że zebrali się na trzeci „kongres narodowy“.

Posiedzenia zaczęły się przed mojem przybyciem: uroczyste nabożeństwo otwarcia w świątyni Zbawiciela 1 października, a potem sprawdzanie mandatów. W poniedziałek po południu, dnia 5 października, poprosiłem o dopuszczenie mnie, jako widza. „Kapłan katolicki, mieszkający zazwyczaj w Rzymie i przewodniczący Instytutu Wschodniego, przybyłem z Paryża bez żadnej misji, w charakterze zupełnie osobistym, aby się pouczyć pod koniec moich wakacyj“. Upewniają się dyskretnie, czy nie jestem „księdzem”, lub kapłanem polskim, przybywającym w roli szpiega — i przyjmują mnie uprzejmie. Zamiast odesłać mnie do trybun, gdzie się mieści publiczność, nie mająca prawa głosu, metropolici przedstawiają mnie. Całe zgromadzenie podnosi się, by mnie powitać. Trzeba przemówić na prędce kilka słów. W dwóch zdaniach stwierdzam, że duchowieństwo i wierni we Francji interesują się żywo duszami chrześcijańskiemi w Rosji, ale z konieczności nic nie wiedzą o warunkach, w jakich one żyją obecnie: pragnąc zatem poznać bezpośrednio wysiłki, podjęte dla ocalenia i rozkrzewienia życia duchowego i chrześcijańskiego ludów rosyjskich w nowem państwie politycznem, przybyłem nie po to, by mówić, lecz by słuchać z sercem przepełnionem modlitwą i miłością dla dusz.

Powtórzyłem także tychonistom to ujęcie, które wyraża w pełni moją myśl. Zostało ono dobrze przyjete. Numerowana kartka zapewnia mi na przyszłość wszelkie ułatwienia w dopuszczeniu na inne posiedzenia. W czasie wolnych przerw księża i osoby świeckie nie uchylają się od rozmowy, prowadzonej najczęściej po rosyjsku i nie zrażają się memi błędami językowemi. Pewien metropolita, który dużo podróżował przed wstąpieniem do stanu duchownego — mówi doskonale po francusku; pewien biskup, profesor akademji, włada tym językiem w sposób wystarczający, jakiś świecki delegat z Turkiestanu mówi z łatwością po angielsku i po włosku; podchodzi do mnie jakiś kapłan, by porozmawiać po niemiecku, profesor zaś Akademji duchownej w Moskwie — po angielsku. Stawiają mi mnóstwo pytań, odnoszących się mianowicie do Sztokholmskiego Kongresu i odpowiadają chętnie na moje pytania.

Zebrania odbywają się w porządku. Poważny i pobożny śpiew dosyć długiej modlitwy obrzędowej otwiera i zamyka wszystkie posiedzenia. Potem porządek dzienny wyznacza odczytywanie sprawozdań, odnośnie do danego punktu. Przewodniczący metropolita udziela prawa głosu tym, którzy o nie prosili pisemnie, muszą oni trzymać się przedmiotu, omawianego przez sprawozdawców, mają jednak wszelkie prawo sprzeciwiania się i zwalczania argumentów oraz wniosków. Często białe, małe karteczki tych, którzy chcą przemawiać, są bardzo liczne. Wówczas przewodniczący zasięga rady zgromadzenia, która ogranicza czas użyczany każdemu mowcy do dziesięciu, czy pięciu minut. Mowcy, biskupi, kapłani, lub świeccy wchodzą na scenę po małych schodkach, które kończą się obok niewielkiego pulpitu, umieszczonego na wprost widzów po prawej stronie. Wiekszość kończy przemówienie w oznaczonym czasie, inni przerywają z trudem — najczęściej ci, których publiczność słucha najmniej chętnie — innych przeciwnie, proszą o prze-

dłużenie mowy w celu lepszego wyjaśnienia ich myśli. Zdania rozbieżne wypowiada się swobodnie, często z żywością; stwierdzam jednak ze zdziwieniem, że większość uchwał — przedsiębrana przez wstawanie i siadanie — dokonuje się niemal zupełną jednomyślnością obecnych. Stwierdzenie ilości głosów przeciwnych było potrzebne tylko dwa razy, a gdy i tak okazało się, że wynik jest niepewny, to biuro zadecydowało, że sprawa widocznie nie była jeszcze dostatecznie wyjaśniona. Otworzyło więc biuro ponownie dyskusję, a zastosowania praktyczne doprowadziły do uchwały prawie jednogłośnej.

Rozpoczęty w czwartek 1 października religijnemi nabożeństwami, „trzeci sobór narodowy" w ciągu 2-go i 3-go października sprawdzał mandaty swych członków. Po liturgicznych obrządkach w niedzielę 4-go, badał w poniedziałek 5-go prace synodu w ciągu dwóch lat. Zgodzono się najpierw na wykluczenie „polityków z prawicy i lewicy". Stwierdzono następnie, że tychoniści, wezwani do wyborów i zaproszeni na sobór, odmówili wzięcia w nim udziału. Na nich to — oświadczono — i na ich antykanoniczną opozycję spada odpowiedzialność za rozdział, który od tej chwili się ustali w łonie prawosławia rosyjskiego. Czerwonych hierarchij nawet nie zaproszono, nikt ich nie bierze poważnie.

Przeciwnie, hierarchja stworzona przez Lipkiwskiego dla samodzielnego wszechukraińskiego kościoła, wydaje się prawie wszystkim zebranym o wiele niebezpieczniejszą. Jego partykularyzm lokalny, jego ukraiński nacjonalizm, sposób odprawiania liturgji w ludowym języku, zdolności i działalność wielu jego przywódców, pociągają zdaje się wielu prawosławnych południowo-zachodnich. Ażeby zapobiec temu odszczepieniu, biskupi i kapłani przybyli z Ukrainy uzyskali to, że całe ranne posiedzenie dnia 7 października poświęcono przedłożeniu, które obszernie rozwijają na trybunie. Samorządność – zupełna autokefalja — ma być przyznana ich hierarchji dzielnicowej, pozostaną oni w związku z prawosławiem moskiewskiem i będą brać udział w jego soborach, nie podlegając im jednak. Będą mieli swe własne synody i sobory... Walka jest żywa. Niektórzy obawiają się, aby inne dzielnice i inne narodowości nie zażądały tej samej niezawisłości religijnej, rząd sowiecki pomnożył ilość niezawisłych republik i terytorjów — czyż więc każdy taki odłam polityczny będzie tworzyć swój własny kościół? Byłoby to zgodne z zasadami, które rozdzieliły Bizancjum od Rzymu, — ale jakie rozdrobnienie by z tego wynikło! A jakiż niepokój będą odczuwać wierni, gdy się znajdą wśród tylu odłamów prawosławia, a specjalnie wśród dwóch, czy nawet trzech autokefalij ukraińskich! A jednak pewien stary arcybiskup o białej brodzie nalega, tłumaczy, raz jeszcze nalega: nie powoduje nim zasada narodowościowa, sam bowiem pochodzi z Wielko-Rosji, ale wykazuje on, że bez nowej autokefalji, hierarchje Lipkiwskiego zatriumfują bez wątpienia. Prawie jednogłośna uchwała przyznaje mu słuszność.

Wówczas ogromne wzruszenie rzuca biskupów rosyjskich w ramiona biskupów ukraińskich. Metropolita Chorkowski, który ma przewodniczyć tej nowej autokefalji, wymierzonej przeciw autokefalji, którą Lipkiwski kieruje w Kijowie, wchodzi na scenę, całuje potrzykroć w policzek, koło ust wszystkich starych metropolitów, a następnie, podczas gdy go oklaskują, pada na

twarz przed zgromadzeniem, całuje ziemię i bije w nią następnie czołem. Gdy wstaje, wszyscy poczynają śpiewać poważnemi i uroczystemi głosami hymn liturgiczny Mnohaja lita. Polychronion ów, wielokrotnie powtarzany, kończy się prośbą o błogosławieństwo; metropolita składa obie ręce, splata palce w specjalny sposób i błogosławi tak równych sobie, jak i delegatów. Potem rozpoczynają się na nowo uściski, podczas gdy większość słuchaczów wylewa się na korytarz. Posiedzenie trwało od godziny dziesiątej rano do trzy na trzecią popołudniu.

Rozpocznie się ono znowu popołudniu, a dotyczyć będzie spraw prasowych, a potem ponownie o siódmej wieczorem. Kilka tygodników kościelnych — poddając się cenrzurze, unikając wszelkich spraw politycznych, będzie mogło odtąd wychodzić; należy im zapewnić czytelników i dobre artykuły. Tutaj zarysowuje się bardzo wyraźnie stanowisko tej hierarchji. Szukajcie analogji w historji rewolucji francuskiej, porównuje ona dzisiejszych tychonistów do małej grupy niezaprzysiężonych biskupów, którzy we Francji usiłowali w ciągu kilku miesięcy zachować swoje trony, nawet po konkordacie; pogardza ona czerwonemi hierarchjami, które podobne do „zaprzysiężonych" poświęciły religję namiętnościom. Pewien metropolita, który dużo podróżował, i w młodości często przebywał we Francji i we Włoszech, wyjaśnia mi znaczenie tej nazwy:

Trzech patrjarchów z Konstantynopola wezwało hierarchję tychonowską do uznania postanowień soboru z r. 1923, a samego patrjarchę do podania się do dymisji. Pius VII. nie spotkał się z takim oporem. My sądzimy tak jak on, że prawdziwem zadaniem Kościoła jest obrona wiary i moralności, oraz organizowania życia religijnego. My nie roztrząsamy dokonanej rewolucji, poddajemy się ustrojowi faktycznemu, ale walczymy z bezbożnemi teorjami i ich rozpowszechnianiem. Aby zmienić prawo antyreligijne, aby odzyskać wpływ na młodzież, aby móc miewać kazania — my musimy wykazać, że prawosławie nie utożsamia się z zasady z samowładztwem i z caryzmem, że zmierza ono ku temu, by służyć duszom, bez względu na warunki polityczne.

Gdy byłem jeszcze młodym człowiekiem, przyjął mnie Leon XIII, a także kardynał Rampolla. Byłem obecny na naradach prasy we Francji nad wskazówkami papieskiemi. Oświeciły mnie one co do mego stanowiska obecnego; moja rodzina należała do arystokracji, była bogatą, jest zrujnowana, wielu jej członków gniewa się na mnie, ale czyż to nie jest moim obowiązkiem.

W środę wieczorem, dnia 7 października, otworzono o siódmej godzinie trzecie posiedzenie dzienne. Poświęcono je całkowicie odczytowi metropolity Aleksandra Wwiedeńskiego: „Jak ocalić i rozkrzewiać obecnie wiarę chrześcijańską w duszach rosyjskich?" W wilję tego dnia odniósł on w „Teatrze Doświadczalnym" sukces na zebraniu dyskusyjnem, zwalczając ateizm ludowego komisarza oświaty, Łunaczarskiego. Dziś zatem mógł mówić do soboru z większym autorytetem. Odczyt jego, wysłuchany z nadzwyczajną uwagą, trwał przeszło dwie godziny. Słowa jego w tej sali o wiele mniejszej, wobec 300 słuchaczów na parterze, a 200 w trybunach, mogły być bardziej niż w wilję nerwowe, bez pauz i bez przygotowania. Miały one

znowu nadzwyczajne powodzenie. Streszczę je dość obszernie, by dać pogląd bardziej bezpośredni na stan umysłów i dusz.

Nie wolno nam — zauważa mowca na wstępie, z góry liczyć, że duch naszego ludu, religijny z natury, będzie zawsze wystarczający do uratowania jego wiary. Wszędzie napada się na religję. Jeżeli nie będziemy kształcić naszego dobrego ludu rosyjskiego, stanie się on niewierzącym, bezbożnym. Ocalimy go tylko wtedy, gdy będziemy czynni, gdy się staniemy działaczami; a zatem musimy nauczać. Znajmy więc najpierw sami to, czego mamy uczyć — nauczmy się także, w jaki sposób mamy nauczać. Zarzuty i uprzedzenie przeciw religji są rozsiewane systematycznie przez szkoły, prasę, i przez niezliczone placówki propagandy. Każdy Rosjanin słyszy teraz od najwcześniejszej młodości, że religja jest sprzeczna z wiedzą, że jest tylko newrozą, spaczeniem instynktu seksualnego. Trzeba więc wdrożyć się do tego, by dobrze rozumieć pytania naszych owieczek, trzeba być w stanie udowodnić im duchowość ludzkiej duszy, jej inteligencji, jej wolności, istnienie Boga, Stwórcy świata i człowieka, a co zatem idzie, konieczność religji.

Ta pierwsza część kończy się dość szybko, umysły bowiem są jeszcze uświadomione przez delegatów z dnia poprzedniego. Druga część obszernie rozwinięta mówi o Naszym Panu Jezusie Chrystusie. Słucham nader uważnie. Kapłan, biskup, mowca świecki muszą dać poznać słuchaczom Jezusa Chrystusa. Dlaczego? Ponieważ sam hołd składany ikonowi nie wystarcza, nie będzie trwały, o ile ochrzczony nie wie tego, co winien wiedzieć i wierzyć o Zbawicielu. Kimże jest więc Chrystus? Jest człowiekiem doskonałym. Doskonałym jest jego rozum, życie moralne, sposób nauczania, miłość dla prostaczków. Ale jest jeszcze kimś nieskończenie większym, jest Synem Bożym, prawdziwym Synem Boga, nie w znaczeniu przenośnem, ale rzeczywiście, metafizycznie współistotnym z Ojcem według określenia soboru nicejskiego. Wcielony — taki sam człowiek jak my — pozostaje Słowem Wiekuistem, prawdziwym Bogiem z prawdziwego Boga... Ani historja, ani psychologja, ani patologja ze swymi wyspecjalizowanemi bluźniercami nie mogą odjąć Chrystusowi boskiego posłannictwa i boskości osobistej...

Przyznaję, że doznałem niezmiernej radości, posłyszawszy w owej Moskwie z r. 1925. to wyznanie wiary, wypowiedziane z zapałem, z powagą i ciepłem. Słuchacze wstrzymywali oddech, a mowca sam ulegał wzruszeniu, powtarzając hołdy uwielbienia i miłości dla Chrystusa, Boga — Człowieka, zrodzonego z przeczystej Dziewicy Marji, Matki Bożej. W części pierwszej pomimo kilku pocisków, wymierzonych, wedle tradycji rosyjskiej przeciw scholastyce, wszystkie dowody zapożyczone od filozofji i od nauki więc w rzeczywistości i bez zwrócenia na to uwagi od tej osławionej scholastyki; jej argumenty są oczywiście niezbędne dla każdego, kto chce udowodnić duchową naturę duszy, i istnienie Boga. Filozofja przeciwnie, nie jest w stanie wykazać, lub bodaj odgadnąć boskości Chrystusa. Wwiedeński słusznie zauważa, że na tę boskość dowodów należy szukać w powadze Kościoła, w jego pierwotnej wierze tradycjonalnej. Ta wiara bowiem sama opiera się na działalności Chrystusa, na Jego życiu, na Jego słowach, na boskiem świadectwie, przejawionem w Jego czynach: jeszcze przed św.

Pawłem, sam Jezus cudotwórca święty i dobry, chciał być uznanym za „Syna Boga żywego, za Pana i Boga, czego rękojmią wobec ludzi miała być boska sankcja Jego cudów. Mowca wskazuje mimochodem na główne prace niedawno ogłoszone we wszystkich językach, odnoszące się do boskości Jezusa, co mianowicie zwraca się przeciw rosyjskim tłumaczeniom Renana. Nie wymienia jednak głównego wykładu współczesnego arcydzieła O. Leonce'a de Grandmaison; nie mogło ono jeszcze przekroczyć granicy po wojnie. Ta druga część o boskości Chrystusa daje zarys zwalczania błędów, rzekomo naukowych, przeciw boskości Chrystusa; kończy się ona pięknym zwrotem o przejawieniu się boskiej miłości na górze Kalwarji: krzyż, na którym Bóg-człowiek umiera dobrowolnie z miłości, przynosi rozwiązanie tym wszystkim, którzy się gorszą, gdy stwierdzają na tym świecie stworzonym przez Boga,— cierpienie, grzech, zło.

Ale — oto trzecia część, której nie oczekiwałem, a która wywarła ogromne wrażenie na słuchaczach — nie wystarcza spekulatywnie badać osobę Chrystusa i jego piękno moralne. Trzeba wejść w związek z nią, w ścisłą zażyłość, żyć Jego życiem. „Nie ocalimy młodych i ich wiary, o ile nie wprowadzimy ich w ścisły stosunek z Chrystusem. Aby młodzież oddała się Chrystusowi — trzeba najpierw dać Chrystusa młodzieży: dar to wzajemny, gdzie Chrystus ofiaruje się pierwszy. Chrześcijanin musi przyjmować Komunję św., przyjmować ją z wiarą, przyjmować ją często. To „nawoływanie do częstej Komunji jest rzeczą nader w Rosji rzadką, niemal niesłychaną. Arcybiskup Cieplak, któremu przytaczałem je w Paryżu, wieczorem dnia 30 października, przerwał mi: „Tak. Wwiedeński polecał częstą Komunję św. jeszcze w latach poprzedzających mój proces".

Te jego słowa, dotyczące świętej Eucharystji płyną dalej z namaszczeniem.

Sprawmy, aby zrozumiano, że Eucharystja zasługuje na większą cześć niż ikon. Jezus Chrystus jest w niej obecny; doprawdy, nietylko przez obraz, przenośnię, lub symbol, lecz On Sam, w tajemniczy sposób, Bóg ukryty, Bóg zmartwychwstały". Wykładając wówczas dogmat obecności rzeczywistej, nalega, aby duchowieństwo rozwijało własną swą wiarę w liturgiczną ofiarę i natchnęło wiernych zamiłowaniem do niej.

Wówczas — powiada — dusze oderwą się od egoizmów; połączone tak ściśle z Jezusem Chrystusem, zrozumieją one, że winny dążyć do przejęcia Jego uczuć, Jego miłości dla braci, dla wszystkich ludzi. Z miłości Chrystusa zrodzi się miłość Kościoła i chęć poświęcenia się dla niego. Wiara będzie ocalona, wzmożona, czynna, nie przez środki polityczne, lecz przez ducha łączności z Chrystusem, przez synowskie poddanie się swemu Ojcu. Będzie to naprawdę życie chrześcijańskie, dążenie do tego, by Bóg i Jego Syn wiekuisty i Duch święty stał się istotnie Królem, Carem duszą dobrej woli. Winien On panować nad wszystkimi, nietylko nad duszą naszą, lub nad duszami jednej rodziny, jednego kraju, ale nad duszami wszystkich ludzi. Pracujmy zatem nad królestwem bożem przez Jego Kościół powszechny, w miłości braterskiej i prawdzie wiary.

Powodzenie znowu jest ogromne. Zgromadzenie długo oklaskuje metropolitę, a następnie, powstawszy intonuje polychronion Mnohaja lita. Za-

wiści, które zazwyczaj rodzi takie powodzenie, maskują się. Biskupi zarówno jak osoby świeckie proszą o błogosławieństwo, a najstarsi metropolici pochylają się kornie pod dwojgiem rąk splecionych, kreślących znak krzyża. Mowca mimo widocznego wyczerpania zachowuje postawę skromną i pełną prostoty. Biskupi i mnóstwo kapłanów podchodzi, by go uścisnąć.

Tymczasem tłum delagatów wypływa zwolna i poważnie na korytarze. Jeden z nich, człowiek świecki, niezmiernie dystyngowany, zbliża się do mnie. „Jestem szczęśliwy — mówi w angielskim języku, że metropolita wyłożył mistykę katolicką, my tak jej potrzebujemy". „Jaka szkoda, — przerywa po francusku pewna starsza dama, schodząc z trybuny, — że nie pozwalają mi mówić publicznie, nie jestem bowiem delegatką, chciałabym jednak zaprotestować przeciw temu co mówił metropolita. Cały ten arsenał dogmatów i praktyk jest może prawosławny czy katolicki, to wszystko jedno, ale jest sprzeczny z Ewangelją. Czy ksiądz czytał Rozdział III św. Jana? Jezus powiada tam, że nikt nie może zrozumieć Ducha, kto się nie narodził nanowo z wody i z Ducha. Pastor Vinet doskonale wykłada ten ustęp. Na nieszczęście nasi księża rosyjscy nie chcą tego wcale zrozumieć. W całej Moskwie znalazłam tylko jednego, który był posłuszny Duchowi..."

Istotnie na dwa zawody w ciągu następnych posiedzeń, jakiś ksiądz o dziwacznych ruchach, dotknięty, jak się zdaje, nerwowem cierpieniem, próbuje polecić reformę, którąby szła za przykładem baptystów. Za pierwszym razem przerywają mu żywo: „Ależ nie jesteście prawosławny! skąd jesteście delegatem?" Musi więc przyznać, że nie jest delegatem wogóle. Odebrano mu głos. Odmawiają mu go też jednogłośnie po raz drugi, gdy wślizgnąwszy się aż na scenę, usiłuje ściągnąć na siebie uwagę i zapanować nad protestami przeciwników. Dama, do której stale zwraca się po radę, szerzy w dalszym ciągu propagandę na korytarzu, zdaje się zresztą bezpłodną; znajdzie się ona znów na czerwonych zebraniach Antonina jednakże przestaje mnie nudzić, z chwilą, gdy odmawiam stanowczo zabrania do Paryża „listów dla białych oficerów z emigracji". Agenci prowokatorzy bywają niekiedy zręczniejsi... D. n.

—o—

Z LISTÓW PASTERSKICH BISKUPÓW ANGLJI I SZKOCJI.

Odpowiedź na antykatolickie szyderstwa. Arcybiskup odpowiada na zarzuty „zabobonu".

To, co wiele osób będzie uważać za odpowiedź na pewne twierdzenia, stawiane przez Dr. Barnesa, anglikańskiego biskupa z Birmingham — jest zawarte w liście arcybiskupa Mc Intyre. Zwracając uwagę na ostatnią encyklikę Ojca Świętego, w której Najwyższy Kapłan stwierdza, iż większość ludzi wyrzekła się w życiu Jezusa Chrystusa i Jego świętego prawa, ks. Arcybiskup powiada, że widomym znakiem tego jest „powszechna zatrata poczucia i potrzeby Pana Naszego i tego, co On jedynie dać może".

„Jakże niewielu jest tych, ktorzy rozumieją potrzebę łaski i życia nadprzyrodzonego. Łaska i życie nadprzyrodzone są dla nich niemal niepojęte. Nieświadomi tego, czem jest prawdziwa świętość wobec Boga, nie odczuwają też wcale jej potrzeby“.

„Całkiem fałszywie pojmują oni sakramenty, te przez Pana naszego postanowione środki obdarzania świętością i mówią o nich jako o czarnoksięskich uroszczeniach i zabobonnych omamieniach. Powiadają: „Patrzcie, cośmy uczynili dla ludzi. Podziwiajcie nasze naukowe odkrycia i przedziwne wynalazki. Zwróćcie uwagę na naszą oświatę, nasz postęp społeczny, ogólną poprawę ludzkiego bytu, a potem powiedzcie nam, co wy możecie dla nas uczynić? co wasza wiara dać nam może?”

Odpowiedź Kościoła.

„Odpowiedź na to katolickiego Kościoła, przemawiającego w imieniu Chrystusa, jest prosta i bezpośrednia: „Ja mogę uczynić Was obywatelami niebios i doprowadzić do żywota wiecznego“. Dobrodziejstwa, któremi Kościół katolicki obdarza ludzi, należą do dóbr wyższego rzędu, aniżeli wyrafinowanie, ogłada i społeczne stanowiska”.

„Po wszystkie wieki Kościół katolicki powtarza całej ludzkości owe słowa, wypowiedziane przez Pana naszego do samarytanki: „Byś wiedziała dar Boży i kto jest coć mówi, tybyś go snać prosiła, a onby ci dał wodę żywą... ale woda, którą ja wam dam, stanie się źródłem wyskakującem ku żywotowi wiecznemu“.

Ostrzeżenie przed głupiem niedbalstwem w sprawie jubileuszu

Biskup Keily z Plymouth wydał specjalne wezwanie do kapłanów swej diecezji, by położyć nacisk na własne słowa, nakłaniające ludzi świeckich do korzystania z odpustu Jubileuszowego. „Prosimy Was, — pisze biskup - nie zważajcie na zarzut natarczywości, zwłaszcza w stosunku do obojętnych i opieszałych, nadejdzie bowiem dzień — może już nader prędko — kiedy będzie to mieć wielkie dla nich znaczenie.

Od następnego Jubileuszu dzieli nas ćwierć wieku, a niedbali ludzie nie będą wolni od zarzutu zbrodniczego i nierozsądnego niedbalstwa.

Przestroga dla rodziców dających dzieciom złe przykłady.

Arcybiskup Mostyn z Cardiff przestrzega przed straszną krzywdą, jaką wyrządzają rodzice dzieciom, dając im złe przykłady w domowem pożyciu. „To, co dzieci widzą i słyszą w najwcześniejszem dzieciństwie, wywiera głębokie i niezatarte wrażenie na ich delikatne umysły“ — powiada ks. Biskup.

„Stąd wynika, że dziecię, które przywykło w dzieciństwie słyszeć mowę gniewną, kłótliwą, i pełną przekleństw, wzrasta w nałogu do podobnych słów, których nauczyło się używać w czasie, gdy usta jego ledwo poczęły wymawiać pierwsze wyrazy. Dziecię znów, które widzi, że ojciec, lub matka znajdują się nieustannie pod wpływem trunków wzrasta w lekceważeniu jego obniżającej zbrodni i często w późniejszych latach wstępuje w występne ślady swego pijanego ojca lub matki. Jest rzeczą obojętną, jakie wymówki będą rodzice podawać, dzieci ich staną się zbyt skłonne do złego,

zbyt bezradne, by nie starać się usprawiedliwić własnych błędów zaniedbaniem i opieszalstwem rodziców.

Papież nasz dobrodliwy Ojciec.

Biskup Pearson z Zamaster, składał hołd cudownej i ojcowskiej dobrodliwości Papieża Piusa XI. w liście pasterskim, w którym opisuje swój niedawny pobyt w Rzymie.

Pisze on: Najdonioślejsza chwila przyszła naturalnie wtedy, gdy powołano mnie przed oblicze Jego Świątobliwości Papieża. Jego gorliwość poznania stosunków, jego zainteresowanie się każdą rzeczą były bardzo żywe i serdeczne. Zapytywał on mnie o usposobienie religijne w wielkich miastach i dał wyraz entuzjazmowi, gdy opisałem mu sposób, w jaki Preston zorganizował wielki bazar, aby przyczynić się do założenia nowej parafji.

Zapytywał o liczbę duchownych i ludności, o religijne domy i ich prace, o szkoły i o religijne wychowanie dzieci, o ilość nawróconych i mnóstwo podobnych szczegółów. Pod koniec tego przedziwnego wywiadu Ojciec Święty powiedział: Weź moje błogosławieństwo dla całej diecezji, dla wszystkich duchownych, ludności, oraz dla dzieci.

Taką jest miłość Ojca Świętego dla swego ludu, miłość, która jest nietylko urzędową, lecz osobistą; ona to sprawia, że każdy Ojciec Święty jest tak drogi wszystkim wiernym.

O tem tkliwem zainteresowaniu się mówi dziś cały świat, a to z powodu sposobu w jaki Ojciec Święty przyjmował setki i tysiące pielgrzymów, zwiedzających Rzym w roku jubileuszowym.

—o—

MIĘDZYNARODOWY KONGRES BUDDYSTÓW W JAPONJI.

Pierwszego, drugiego i trzeciego listopada zeszłego roku odbył się w Tokjo, w świątyni Zôjôji hiba buddystyczny kongres międzynarodowy, a raczej wszechazjatycki. Tysiąc najsławniejszych bonzów z Chin, Korei i Japonji brało w nim udział i rozważało ogólne sprawy buddyzmu.

Na pierwszem posiedzeniu odczytano gratulacyjne pismo pierwszego ministra Katô, poczem minister oświaty M. Okada wypowiedział mowę powitalną, życząc zebranym powodzenia w pracy. Sir Karol Eliot, ambasador angielski, profesor Gunter z uniwersytetu cesarskiego, profesor Petzold z wyższego liceum, M. Shimomura, dyrektor biura religij w ministerstwie spraw wewnętrznych, oraz mnóstwo powag uniwersyteckich było obecnych na otwarciu tego posiedzenia.

Tego samego dnia po południu odbyło się zebranie Stowarzyszenia Młodzieży buddystycznej: 1.600 dzieci obu płci, uczniów szkół niedzielnych, wzięło w niem udział. Po przemówieniu bonzy Suzuki'ego i odśpiewaniu hymnu narodowego, młody Sakogucki odczytał w imieniu chłopców adres powitalny, zwrócony do bonzy Tai, przedstawiciela Chin, a panna Iida ofiarowała bukiet w imieniu dziewcząt.

Nazajutrz dnia 2 listopada rozpoczęły się narady, dotyczące propagandy doktryny buddyjskiej, najważniejszego punktu programu. Pomimo nieco rozbieżnych poglądów chińskich i japońskich delegatów, uchwalono założenie związku wschodnio-azjatyckiego, którego ośrodkiem ma być Japonja. Następnie przyjęto jednogłośnie następujące punkty, odnoszące się do środków, których należy użyć dla celów światowej propagandy buddyzmu:

1) Buddyści Azji Wschodniej będą użyczać sobie wzajemnej pomocy w szerzeniu buddyzmu po całym świecie. Spodziewają się oni, że w ten sposób rozszerzą na cały rodzaj ludzki dobroczynne światło Buddy. Do osiągnięcia tego celu użyją oni następujących środków:

a) drukowanie w angielskim języku ksiąg buddyjskich,
b) drukowanie buddyjskich czasopism angielskich,
c) rozsyłanie kaznodzieji po wszystkich krajach świata.

2) Wszyscy buddyści będą uroczyście obchodzić rocznicę urodzin Sakya-Muni.

Ponieważ ceremonjał buddyzmu nie odpowiada współczesnemu duchowi, przeto mianuje się komisję dla jego zreformowania.

Po południu omawiano sprawy, dotyczące wychowania buddyjskiego.

W rezultacie tej dyskusji zgodzono się na „zaniechanie utylitarnej propagandy wiedzy i podjęcia szerzenia wychowania buddyjskiego wśród ludu, na zasadzie bezwzględnej równości dla wszystkich.

Ustęp o propagandzie utylitarnej wiedzy mierzy dyskretnie w bonzów, szukających niskich zysków.

Postanowienie rozesłania mowców buddyjskich po całym świecie, zbiega się ściśle z chwilą, w której dzienniki powiadamiają nas o podjętej wyprawie w celu „nawrócenia" Ameryki, oczywiście na buddyzm. Wielebny Anagarika Dharmapala, dyrektor generalny indyjskiej misji buddyjskiej, po odbytym objeździe Ameryki stwierdza „bankructwo" chrystjanizmu. Religja chrześcijańska — powiada on — zbankrutowała z powodu swych dogmatów, buddyzm zatem, który nie ma wcale dogmatów, jest powołany do zastąpienia jej. Należy więc stworzyć środki propagandy buddyjskiej w Nowym Yorku, Chicago, Los Angelos i t. d. „Jedynie buddyzm przez swe posłannictwo pokojowe może zbawić Amerykę wraz z jej pieniądzmi, szaleństwem pośpiechu i upadkiem moralnym i materjalnym".

Czyżby gorliwy bonza miał na widoku ratunek t. j. wydobycie dolara?...

W Japonji spotykamy się z odnową prozelityzmu, który wyraża się gwałtownemi napaściami na chrześcijaństwo. W Nagasaki odbywały się w końcu listopada odczyty zatytułowane: „Wypowiedzenie wojny chrystjanizmowi". „Celem naszym jest całkowite zniszczenie zdrajców chrześcijan" itd. Napaść ta jest, zdaje się, skierowana raczej przeciw protestantom angielskim i amerykańskim.

GÓRA PRZEMIENIENIA PAŃSKIEGO.

I. Ziemia mlekiem i miodem płynąca.

„W on czas: wziął Jezus Piotra i Jakóba i Jana brata jego i wprowadził na górę wysoką osobno. I przemienił się przed nimi.“ —

Judea — to znaczy cała południowa połać Ziemi świętej — jest po większej części nieurodzajną, pustą, szarą i kamienistą, górską pustynią. — Galileja zaś, część północnej Palestyny, jest krajem urodzajnym, pełnym przecudnej zieleni, przypominającym jakiś skrawek raju. Do tej krainy, bogatej w bujną zieleń i we wspaniałą roślinność dadzą się zastosować doskonale owe pochwalne słowa Pisma świętego, wypowiedziane o „ziemi obiecanej”, „mlekiem i miodem płynącej”.

W Nazarecie spędziłam kilka dni, wraz z mymi towarzyszami podróży, w gościnnym domu franciszkańskim, przeznaczonym dla pielgrzymów. Najbliższym celem naszej podróży była góra Tabor, góra Przemienienia Pańskiego. Fatalna droga wiodąca do niej poprzez galilejskie wzgórza, dzikie, romantyczne i odludne, częściowo skaliste, częściowo pokryte lasem — uchodzi za niepewną i życiu zagrażającą z powodu rozbójniczych napadów Beduinów i Druzów, którzy są źle dla cudzoziemców usposobieni. Dlatego też nabiliśmy rewolwery i zabezpieczywszy je, wsunęliśmy w kieszenie ubrań. Sakiewki z pieniądzmi zawinęliśmy w stare gazety, by im nadać wygląd rzeczy bezpożytecznych i umieściliśmy je w plecakach, trochę zaś drobnej monety zostawiliśmy w kieszeniach kamizelek.

Koło studni Marji skręciliśmy na gościniec wiodący na górę Tabor. Ścieżka urwała się wkrótce, a my znaleźliśmy się wśród bezdrożnych, romantycznych, dzikich i samotnych wzgórz galilejskich. Trzeba więc było wspinać się poprzez kamienne usypiska, szczyty i góry, spuszczać w zielone doliny i głębokie skaliste parowy, prześlizgiwać się ponad zionącemi przepaściami i przedzierać się przez gęste dębowe zarośla, oraz leśne zagaje. Wśród tego romantycznego, lecz niemiłego pustkowia, kędy koczują tylko wpółdzicy Beduini i Druzowie, i kędy prócz nich nikogo się prawie nie spotyka, obcy wędrownik może być z łatwością zabity, a świat wcale się o tem nie dowie.

W drodze spotkaliśmy kilku uzbrojonych, przeciągających pojedynczo lub w grupach, pieszych i konnych Beduinów i Druzów, z których jedni przyglądali się nam z mniejszą, lub większą uwagą, inni znów zdawali się wcale nas nie dostrzegać.

Następnie tu i owdzie pojawiło się kilku arabskich i druzyjskich piechurów lub jeźdźców którzy jednak nie naprzykrzali się nam wcale. Natomiast zbudziliśmy czterech śpiących w zaroślach Beduinów, którzy zażądali od nas bakszyszu w sposób pół proszący, pół rozkazujący. Rzuciliśmy im cztery papierosy i pocwałowaliśmy dalej w groźne pustkowie górskie.

II. Na górze Tabor.

„Dobrze jest tu być; uczyńmy tu trzy przybytki.“

Wszyscy pamiętamy dokładnie z obrazków i widokówek charakterystyczny kształt góry Tabor. To też pilnie rozglądaliśmy się naokół, by ją

wśród różnorodnych formacyj górskich rozpoznać. Wdrapaliśmy się nawet, by pozyskać dogodniejszy punkt obserwacyjny, na sąsiednie wzgórze, z którego wierzchołka ujrzeliśmy poza łańcuchem gór, przesłaniających nam poprzednio widok — ogromną, wysoką i samotną górę. Kolos ten panował nad całem otoczeniem, a po kształcie tak dobrze nam znanym z obrazków, rozpoznaliśmy w nim górę Tabor.

„Tabor! Hurra! Tabor!“ krzyknęliśmy jednogłośnie, z żywą radością. Spuściliśmy się potem w dolinę, wdrapaliśmy się znów na następne wzgórze i tak dążyliśmy poprzez wąwozy i zarośla prosto ku Górze Przemienienia Pańskiego. Przedostaliśmy się wkońcu poprzez górski łańcuch i oto ujrzeliśmy nareszcie króla galilejskich gór, w całej wspaniałości i majestacie. Dotarliśmy po kilkugodzinnej wędrówce do podnóża Taboru, a teraz oczekiwało nas wspinanie się pod górę podczas nieznośnego, wschodniego upału. Na szczyt wiedzie wyraźnie rysująca się serpentyna. Przecudne, coraz to zmieniające się widoki, łagodzą trochę wspinanie się na górę. Stoki zielonej góry porastają niskie zarośla, lub wysokie krzaki dębowe; tu i tam zdarza się nawet las wysokopienny.

Minąwszy wiele ruin i grotę Melchizedecha, dotarliśmy mniej wiecej po upływie godziny, w porze południowej, do szczytu góry Tabor. Dziwny widok na równinę, roztaczający się ze szczytu 300 m. wysokiego od podstawy (562 m. nad p. m,) jest poprostu wstrząsający. Poniżej leży malownicza wieś Daburije w obramieniu kaktusowych ogrodów, oraz biblijne miasto Lewitów Daberoth, położone na pograniczu ziem pokoleń żydowskich Sebulona i Izachara. Wskroś głębokiej, słońcem zalanej doliny Tabor, wije się biały szlak gościńca dla karawan, na którym widnieją jeźdźcy, wielbłądy i całe karawany, podobne maleńkim zabawkom, lub punkcikom, poruszającym się ze ślimaczą powolnością. Widok to rozległy na całą krainę galilejską. W oddali widnieją potężne góry Hermon, i Hanoan, niknąca w szarobłękitnej mgle, Dzebel Drus (góra Druzów), ściślejsza ojczyzna budzących postrach Druzów, niższa dolina Jordanu i wyżyna Samarji. Widać stąd Liban, jezioro Genezaret i biblijną miejscowość Młodzianków z Naimu, równinę Jezeel, a nawet górę Karmel nad Morzem Śródziemnem. Góra Tabor, wskutek sobie właściwego kształtu, przypominającego ścięty stożek kredowy, z której wierzchołka uwieńczonego bujną zielenią rozciąga się wspaniały widok, jest jedną z najbardziej interesujących gór świata.

Dobrze utrzymana droga na zielonym płaskowyżu góry Tabor wiedzie do rzymsko-katolickiego i do greckiego klasztornego hospitium. Przez pomyłkę zaszliśmy najpierw na podwórze greckiego klasztoru, kędy olbrzymi pies oznajmił, szczerząc zęby, nasze niepożądane przybycie głośnem szczekaniem. Grecki mnich o potarganej brodzie przytrzymał go i pokazał nam drogę do franciszkańskrego klasztoru. Tam przyjął nas arabski służący klasztorny w czerwonym fezie na głowie, który nas bez żadnych trudności, z taką prostotą, jakby to była rzecz sama przez się zrozumiała, zaprowadził do czystego pokoju, zaopatrzego w porządne łóżka i inne wygodne sprzęty. Po upływie pół godziny nakrył on stół dla nas zgłodniałych i znużonych pielgrzymów. Podziwialiśmy obfitość i dobroć potraw, które ten człowiek ciągle przynosił z kuchni klasztornej. Prócz tego, ugoszczono nas skrzącem, czerwonem wi-

nem palestyńkiem i słodkiemi winogronami. Istotnie! „Dobrze jest tu być". Dopiero po skończonym posiłku zobaczyliśmy się z kilkoma włoskimi zakonnikami franciszkańskimi. Po południu zjawił się łaciński patrjarcha z Jerozolimy z kilkoma duchownymi, przybyłymi z nad jeziora Genezaret, szukającymi również spoczynku w schronisku na górze Tabor.

Góra Tabor uchodzi za prawdopodobne miejsce Przemienienia Jezusa i dlatego nazywa się Górą Przemienienia. Niedaleko od łacińskiego klasztoru znajduje się, obok licznych rozwalonych ruin, arabska brama łukowa, zwana Bab el hausa (Brama Wiatru) i szczątki dawnego kościoła krzyżowców. Przypuszczają, że Przemienienie dokonało się w miejscu, na którem stoi stary, dobrze zachowany, na bloku skalnym zbudowany ołtarz. Tamto Jezus Chrystus, podczas zjawienia się proroków Mojżesza i Eljasza przemienił się przed apostołami Piotrem, Jakóbem i Janem w cudowny i tajemniczy sposób. Oblicze Jego rozjaśniało się jako słońce, a szaty Jego stały się białe jak śnieg. W pobliżu skromniutkiego kościółka franciszkanów, na miejscu dawnego kościoła z 4 wieku, wznosi się dziś grecki kościół klasztorny.

Ta iście królewska góra była świadkiem krwawych walk między Rzymianami, a Żydami. Rzymianie obwarowali ją jako fortecę. Sułtan Saladyn zburzył klasztory i kościoły na górze Tabor. Krzyżowcy oblegali ją długo i bez skutku, a twierdze jej zostały wkońcu zburzone przez Mahometan.

Gdy człowiek z wyżyny góry Przemienienia podziwia wschód i zachód słońca, to doznaje on wrażenia, jakby nagle został przeniesiony we wschodni kraj baśni, kędy miód i mleko płynie. Cały daleki górski krajobraz Galilei wygląda wówczas jak symbol Przemienienia, spowity w mgły złociste i tworzący cudną nastrojową harmonję z samą Górą Przemienienia.

Zażywszy gościnności klasztornej i wypocząwszy, przygotowaliśmy się do dalszej drogi; następnie opuściliśmy dumną górę Tabor, oblaną światłem promiennego, uśmiechniętego słońca Wschodu i udaliśmy się w kierunku jeziora Genezaret.

—o—

ROZWÓJ KATOLICYZMU W NIEMCZECH.

Od czasu uchwalenia nowej konstytucji w Niemczech (1919) położenie katolicyzmu wzmocniło się pod wielu względami.

Poprzednio istniały w Prusach prawa wyjątkowe, które zabraniały zakładania pewnych zakonów religijnych męskich (jezuici, lazaryści) i które hamowały rozwój innych instytucyj duchownych. Obecnie prawa te są zniesione. W r. 1915 w Niemczech było tylko 335 klasztorów męskich (z tych 25 jedynie w Niemczech Wschodnich) z 6.456 zakonnikami, obecnie jest ich 520 z 9.724 zakonnikami. Od r. 1922 powstało 34 fundacyj, nie licząc nowicjatów dominikanów, Białych Ojców, jezuitów, lazarystów, którzy przebywają jeszcze za granicą. Liczba zakonów żeńskich powiększyła się od r. 1922 o 63 domy i 2.420 zakonnic.

Powrotne zdobycie krajów protestanckich wymaga wielkich wysiłków. Zadanie jest ciężkie. Diaspora w Saksonji i w północnych Niemczech w ogólności nietyle musi walczyć coprawda z rządem, ile z socjalizmem głęboko zakorzenionym w tych przemysłowych krajach. Udało się jednak przed kilku laty założyć z powrotem zniesione ongiś biskupstwo na prastarej ziemi osadników, w jednej z twierdz protestantyzmu w Miśni, (Saksonja). W Turyngji, kraju św. Elżbiety, gdzie protestantyzm przeważał od XVI stulecia, istnieje obecnie 23 parafij, w Berlinie zaś, kędy w ciągu całego zeszłego wieku był tylko jeden kościół katolicki, obecnie mamy aż 31 parafij.

Bawarja w styczniu 1925 r. zawarła konkordat ze Stolicą Świętą, bardzo korzystny dla spraw Kościoła.

Innym doniosłym wypadkiem było też mianowanie nuncjusza apostolskiego w Berlinie w r. 1925. Fakt ten oznacza ustalenie bezpośrednich stosunków państwa niemieckiego z Kurją rzymską, co było dotąd gorącem, lecz daremnem życzeniem katolików, żyjących w cesarstwie.

Objawem równie radosnym, jak ten ekspansywny ruch katolicyzmu, jest intensywność życia katolickiego. Wielu naturalnie jest letnich, lub renegatów, jednakże spotyka się dużo zapału, gorliwości i wielkoduszności wśród większej części wiernych. Stąd powstaje mnóstwo organizacyj które podtrzymują z podziwu godną solidarnością myśl i ideał katolicyzmu.

—o—

SPRAWA PAŃSTWA RZYMSKIEGO POZOSTAJE NADAL NIEROZWIĄZANĄ.

Niektórzy wyobrażają sobie chętnie, że zagadnienie rzymskie przestało istnieć od chwili, kiedy Pius XI udzielił pierwszych błogosławieństw ludowi rzymskiemu z wysokości balkonu kościoła świętego Piotra i kiedy Mussolini przywrócił krzyż na wieży Kapitolu i w publicznem życiu włoskiem.

Byłoby to dziwnem łudzeniem się, a Stolica Święta parokrotnie podejmowała trud rozproszenia tego pięknego snu. W przemówieniu konsystorjalnem jeszcze w dniu 14 grudnia 1925 r., Najwyższy Kapłan przypomniał — dziękując zresztą rządowi włoskiemu za wszystko co uczynił dla powodzenia Świętego Roku — że obecne warunki pontyfikatu rzymskiego nie zapewniają głowie Kościoła tej niezależności, jaka jest niezbędna dla sprawowania urzędu powszechnego nauczania.

To uroczyste stwierdzenie nie przeszkodziło pewnym włoskim dziennikom w wyciągnięciu nieco później przesadnych wniosków z faktu, że rząd Mussoliniego ma zamiar zreformować w sposób życzliwy dla Kościoła ustawy, które rządzą obecnie zakresem spraw kościelnych.

Zwrócono uwagę na doniosłość tej reformy, oznaczającej niezaprzeczenie znaczny postęp w stosunku do ustawodawstwa obecnego. Popolo di Roma komentując je dla publiczności faszystowskiej, pisze, że to „jeszcze jeden wielki krok do połączenia Państwa z Kościołem“ i że „niweczy on wszystkie zatargi, istniejące między władzą cywilną a kościelną“.

Osservatore Romano zajął się tym komentarzem i zaopatrzył go w for-

malne zastrzeżenia: „nie można mówić — powiada on — o współpracy i pogodzeniu się, na skutek zarządzenia jednostronnego, dokonanego przez państwo, bez współudziału Stolicy Świętej i które mimo swej wartości, jest jeszcze dalekie od tego, coby było nieodzowne dla zupełnej zgody i całkowitego uspokojenia religijnego kraju.

Na to — dodaje Osservatore — a niemal nikomu nie trzeba tego przypominać — należałoby przedewszystkiem znieść prawo gwarancyjne, nazwane arcydziełem liberalizmu, zapewnić Stolicy Świętej pełnię, zarówno istotnej, jak pozornej wolności i niezależności w oczach całego świata, do czego ma prawo nieprzedawnione, a potem przystąpić do reformy wszystkich niesprawiedliwych ustaw przez uzgodnienie obu władz".

To ujęcie sprawy wywołało polemikę bardzo żywą, w ciągu której Osservatore musiał ponowić raz jeszcze oświadczenie zasadnicze przyznając niemniej, że „projektowana reforma wnosi doniosłe ulepszenia do ustawodawstwa, które antyklerykalny liberalizm, panujący od półwiecza, narzucił Kościołowi".

W ten sposób wszędzie zapanował spokój, z wyjątkiem prasy liberalnej, na łamach której usiłowano bezsprzecznie dalej dolewać oliwy do ognia i prócz sfer krańcowych faszystowskich, których nienawiść do stronnictwa ludowego skłoniła do gwałtownych ataków przeciw kardynałowi Gasparri'emu.

— o —

TOWARZYSTWO ŚWIĘTEGO IMIENIA W AMERYCE. Towarzystwo Świętego Imienia jest poważnem zgromadzeniem mężczyzn katolików, kierowanych przez Zakon Kaznodziejski. W Chicago Towarzystwo Świętego Imienia liczy ponad 100.000 członków, do których zaliczają się także tak zwani „big brothers", Wielcy Bracia. Opiekują się oni dziećmi opuszczonemi, które znalazły się przed kratkami sądowemi. Od ośmiu lat przeszło przez ręce Wielkich Braci więcej niż dziesięć tysięcy dzieci, katolickich i niekatolickich, które przysłały trybunały z Chicago i innych miejscowości.

Katolicy należą do wyjątków między tymi małymi zbrodniarzami, co może stanowić dowód, iż wychowanie katolickie chroni przed pewnego rodzaju upadkami. „Wielcy bracia" na 100 dzieci znajdują zaledwo 10 katolików. Reszta wzrastała poza wszelką moralnością. Wielcy Bracia biorą na swe barki zadanie chronienia tych dzieci przed występnemi wpływami, dostarczania im pracy i śledzenia ich życia wedle możności, — co pociąga za sobą nietylko konieczność stałego i pilnego czujnego poświęcenia, ale także wymaga znacznych nakładów pieniężnych. Liczne nawrócenia, nietylko wśród dzieci, lecz także wśród ich rodzin, są wynikiem tej pracy. Zauważono w parafjach w Chicago, że liczba dzieci zbrodniczych nigdy nie była tak mała jak obecnie.

WZROST ROZWODÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH. Ilość rozwodów w Stanach Zjednoczonych zajmuje nawet niekatolików. Zapewniają, że w pewnem niewielkiem mieście w Mississipi zdarza się do tysiąca rozwodów rocznie. I tak wymieniają pewnego fryzjera, który się rozwiódł po raz siódmy i praczkę, która rozwodziła się ośm razy. Wybitny sędzia, Ben Luidsay zapewnia, że w pewnej liczbie miast, Denver, Los Angelos, Kansas City, Atlanta i Cleveland, jeden rozwód wypada na dwa małżeństwa, nie mówiąc o opuszczeniach i t. d. Z Austrji i z Anglji donoszą, że i tam ilość rozwodów wzrosła, chociaż w miejszym stopniu. „America" boleje nad niezdrową jawnością, przyznaną w Stanach Zjednoczonych procesom rozwodowym i dochodzi do wniosku, że początkowa przyczyna zła jest bardzo prosta: polega ona na zapoznaniu obowiązków i odpowiedzialności sakramentu małżeństwa.